ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 28-go Października 1897. Nr. 43.

„Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WZGARDZONA.

Obrazek z XVII wieku przez Sta.

I.

W pięknej dolinie nad rzeką Rabą leżała przed laty wieś duża i bogata Godów. Oprócz pańskiego dworu, podwórza i ogrodu, wznoszących się na małem wzgórzu, reszta wioski rozsiadła się nad Rabą; długi szereg chat włościańskich ciągnął się po jednej stronie drogi, podczas gdy po drugiej stronie leżały wielkie sady i ogrody przerznięte rzeką.

Było to już pod koniec Sierpnia roku 1651; dzień był nadzwyczaj gorący, słońce płonąc jak rozpalona kula, zalewało żywym ogniem ziemię. W całym Godowie panowała jakaś martwa cisza i spokój, jakby wszyscy mieszkańcy wymarli, lecz nie było w tem nic dziwnego: dziś właśnie miano ukończyć żniwa, zebrać resztę obfitych plonów, których już pełne były stodoły i brogi.

Kto tylko miał zdrowe ręce i nogi biegł w pole; nawet dzieci nie było widać na wsi: jedne pociągnęły za starszymi do żniwa, inne, zmordowane upałem, posnęły w cieniu rozłożystych grusz i jabłoni.

Przed jedną tylko chatą, ocienioną stuletnią może lipą, bawiło się dwoje dzieci, siedmioletni chłopiec i pięcioletnie dziewczątko, krzycząc i hałasując głośno.

Naraz na progu domu stanęło dziewczę lat piętnaście, wysokie i zgrabne, z ładną i miłą, ale bladą, wymizerowaną twarzyczką; niebieskie oczy dziewczęcia podkrążone były sinemi obwódkami, obfite, jasne włosy zebrane w jeden warkocz, wymykały się z pod białej chusteczki, okrywającej kształtną małą główkę i spadały na plecy na grubą koszulę, która wraz z krótką wyblakłą spódniczką i połatanym fartuchem, stanowiła całe ubranie dziewczęcia, dostateczne zresztą na tak wielkie gorąco.

— Macioś! Józka! — zawołało dziewczę do hałasujących dzieci. — A cichoż bądźcie! Nie wiecie to, że Kachna chora?

— Wiemy! wiemy! — odpowiedział swawolny chłopiec, — Ale czemu to ty, Terko, nigdy nie chorujesz, tak jak Kachna?

— Ano, tak, czemu to jeno Kachna piszczy i stęka, a nam nie dasz się głośno bawić? — dodała mała Józka.

— Bo widzicie, mnie Ojciec niebieski dał zdrowie — odpowiedziała Terka, podnosząc oczy z wdzięcznością w górę — nic mnie nie boli, to i nie narzekam, a biedna Kachna...

— Jest leniuch! — przerwał Macioś. — Tak powiedziała Stachowa, ona woli leżeć, jak robić; prawda to?

— Wstydź się, tak nie ładnie mówić na chorą siostrę — zgromiła Terka chłopca. — Nie musisz powtarzać, co Stachowa mówiła. Oto lepiej gródźcie

sobie ogródek, albo budujcie piec z piasku, a nie krzyczcie tak.

— Ja wolę w konie się bawić! Dalej, Józka, bądź źrebakiem i chwyciwszy tasiemki fartuszka swej małej siostrzyczki, galopował wraz z nią około lipy.

W tej samej chwili dał się słyszeć gniewny głos z wnętrza chaty, więc Terka zostawiła dzieci i szybko wbiegła do domu.

W jasnej czystej komorze za świetlicą leżała na łożku Kachna, dziewczyna dwa lata starsza od Terki, swej stryjecznej siostry. Miała ona przed trzema dniami febrę, w skutek przejedzenia się owocem, przeto nieco zasłabła; a że upał był wielki, więc wolała leżeć na łóżku w chłodnej komorze, niż iść w pole do pracy, choć zdrowa dziś była zupełnie.

— Czego te bachory tak wrzeszczą? — spytała Kasiuchna ze złością — Sprawiedliwie matka mówią, żeś ty, Terko, do niczego, bo ani dzieci nie umiesz uskromić.

— Nie gniewaj się Kasiuchno. Wiesz, jaki Macioś pustonośny, a i Józce też nie brakuje.

— O, ty ino na drugich umiesz spędzać... Lepiej byś mnie oto z much oganiała; chciałabym trochę spać, jeno przed temi utrapionemi robakami nie mogę.

— Czemu nie... toćbym cię oganiała, ale że to mam dużo roboty... nie skończę do wieczora...

Tu zamyśliła się Terka, wodząc oczami po izbie, jakby czego upatrywała, a wreszcie zawołała, uderzywszy lekko w dłonie:

— Już wiem, co zrobię! Dzieci tam jako uciszę i muchom ciąć cię nie dam, a sama będę mogła pomywać. Czekajno na chwilę.

Domówiwszy tych słów, wybiegła Terka na dwór, ale niebawem wróciła niosąc cztery wielkie gałęzie lipowe, które zatknęła w łóżku około głowy rozkapryszonej Kachny, na gałęziach rozwiesiła dużą cienką chustkę i osłona przed muchami była gotowa. Następnie wyszedłszy znowu przed dom, nałamała gałązek i rosnących około płota polnych kwiatów i jęła pod lipą urządzać ogródek.

Macioś zziajany, oblany potem, siedział na trawie, obok niego leżała jak długa Józka; skoro przecież dzieci zobaczyły co robi Terka, powstały żywo i zbliżyły się do niej. Macioś zaś przyskoczywszy, wydarł Terce gałązki z ręki, wołajac:

— Ruszaj sobie do roboty; ty nie umiesz ogródka grodzić, ja lepiej potrafię; widzisz tak! Józka mi będzie szykowała gałązki, a ja będę płot grodził.

I siadłszy na ziemi, zajęły się dzieci gorliwie a po cichu nową zabawką. Ucieszona zaś z udanego podstępu Terka, podskoczyła żwawo do swej przerwanej pracy.

Pracy tej miała nieboga bardzo wiele. Musiała pomyć naczynia, poszorować statki, naszykować paszy dla krów i trzody a przed wieczorem ugotować wieczerzę dla licznej czeladzi i domowników, będących przy żniwie; przy tem trzeba było mieć baczenie na dzieci psotne i nieposłuszne. Pracowała więc pilnie, ale snać znużona była i osłabła, bo ręce opadały jej raz po raz mimo woli. Jednakże, choć coraz wyglądała do dzieci, które bawiły się teraz spokojnie, z każdą chwilą ubywało roboty.

Trzecia już była godzina, gdy Terka ukończyła nareszcie domową pracę i zaczęła wybierać się na ogrody po trawę i zielsko. Dzieci obawiała się zostawić same przed domem, więc je namawiała i prosiła, aby z nią poszły. Lecz Macioś ukończywszy ogródek, tak był zajęty budowaniem pieca z kamieni, że nawet nie chciał słuchać o ruszeniu się z miejsca.

— Dam wam jabłek, jak ze mną pójdziecie, rzekła w końcu, nie wiedząc już co począć z upartym chłopcem, Terka.

— To dawaj, ale zaraz! — krzyknął Macioś — Patrz, jaki ładny piec postawiłem, będziemy w nim jabłka piekli.

— Ale pójdziecie ze mną, jak się upieką?

— Pójdziemy! pójdziemy! Jeno dawaj, a dużo.

— Oto macie wszystkie, co matka zostawiła, a tu chleb na podwieczorek — mówiła Terka — Włóż jabłka na chwilę w piec, a jak się niby upieką, zjecie razem z chlebem; ale się spieszcie, bo nie mogę czekać.

— To sobie idź; ja będę czekał, aż się jabłka na prawdę upieką — odparł Macioś i jedząc chleb, czekał spokojnie!

Terka jęła znowu prosić i namawiać dzieci, aby z nią poszły, zaręczając, że w takim piecu nigdy się jabłka nie upieką, więc na próżno czekają. W końcu jednak widząc, że Maciosia nie przekona prędko, że raczej skoro się znudzi spokojnem siedzeniem, sam dobrowolnie jabłka wyjmie z pieca, prawie rada była chwilowej zwłoce, w czasie której mogła nieco odpocząć.

Usiadła więc w cieniu lipy na darniowej ławeczce, wyjęła swój kawałek chleba i zabrała się do jedzenia. Ale nie miała jakoś apetytu; pot spływał po całem ciele dziewczęcia, nogi drżały pod nią i oczy gwałtem się zamykały.

— Spiesz się, Maciosiu, z tem pieczeniem, bo jak chleb zjem, musimy iść koniecznie, pokażę wam na ogrodzie coś ładnego, — mówiła Terka, gwałtem otwierając oczy, a po chwili szepnęła sennym głosem:

— Odpocznę choć chwilkę, taka jestem jakaś zmordowana.

I przymknęła powieki, lecz natychmiast otwarła je znowu, usiłując się rozbudzić, podniosła nawet chleb do ust, ale ręka spadła jej bezwładnie. Dwa razy jeszcze próbowała odpędzić ogarniającą ją senność, napróżno przecież, wolno pochyliła się i upadła na trawę, zsunąwszy się z nizkiej ławki, na której tylko głowa oparta pozostała, po chwili zaś już sen mocny i głęboki objął zmordowane dziewczę.

Terka choć wysoka i silnie zbudowana wycieńczona była pracą nadmierną i lichem pożywieniem, dziś nadto śpiąca straszliwie, bo dwie ostatnie noce prawie wcale nie spała, pilnując chorej Kachny, która wyspawszy się za dnia, całe noce grymasiła, wyrzekając na gorąco.

Macioś widząc, że się w jego piecu owoc nie piecze i spostrzegłszy, że Terka zasnęła, rzekł po cichu do Józki:

— Na kominie w popiele jest wielka kupa czerwonych węgli, tam się jabłka upieką. Dopiero się to Terka zdziwi, jak się zbudzi, żem jabłka upiekł, a ona już tak mądrowała, co nie potrafię.

— I rad ogromnie ze swego pomysłu, poskoczył wesoło do kuchni. Komin był tam niski, więc łatwo rozgarnął węgle, włożył owoc, przysypał go popiołem i wyszedł przed dom, nie uważając, iż kilka rozpalonych węgli wypadło z komina na leżące przed nim wiory, słomę i gałęzie.

Tymczasem Józka, mająca pilnować Terki, aby ta zbudziwszy się, nie przeszkodziła w pieczeniu, usnęła, położywszy głowę na kolanach siostry. Widząc to Macioś i czując się bardzo zmęczonym, przysiadł z drugiej strony Terki, głowę położył na jej fartuchu i przymknął powieki; niebawem otworzył je jednak i szepnął:

— Dobrze, że śpią… jak się jabłka upieką, obudzę obydwie…

Ułożył się wygodniej, zamknął oczy, a po kilku minutach spał również mocno, jak jego siostry.

II.

Chata, przed którą Terka wraz z dziećmi zasnęła, należała do jej stryja, Mateusza Połonki, zamożnego kmiecia.

Połonka siedział na wielkiem gospodarstwie, z którego czynsz płacił, a które odziedziczył po ojcach. Bo przed laty był taki zwyczaj, że kmieć osadzony na pustkowiu, gdy zamienił je w urodzajną ziemię, był wolny przez lat dziesięć od wszelkich danin i podatków, a po dziesięciu latach przechodził na czynsz. Połonka był właśnie potomkiem takiego kmiecia.

Że zaś gospodarstwo objął w dobrym stanie, a sam był pracowity, gospodarny i oszczędny, przeto miał się bardzo dobrze i w bród było u niego wszystkiego. Mimo to Mateusz nie był nigdy z niczego zadowolony, zawsze chodził kwaśny i mrukliwy. Choć miał

już lat czterdzieści był jeszcze kawalerem; kobiet ogromnie nie lubił, nawet patrzeć na nie nie chciał, uważając je za jakieś złe, marne istoty. Gdy go namawiano, aby się ożenił, wzdrygał ramionami i mówił:

— A mnie na co to utrapienie? Co to kobieta? Każda pragnie tylko próżnować, stroić się i paplać po całych dniach.

Ludzie mówili, że się Połonka już z taką naturą urodził, i może było w tem nieco prawdy; ale głównie ztąd wstręt do kobiet pochodził, że Mateusz patrzał na nieszczęśliwe małżeństwo swych dwóch braci.

Starszy z nich Idzi dostał kobietę bardzo kłótliwą, zazdrosną i samolubną, z którą istny czyściec wytrzymał, nim go śmierć od niej uwolniła; młodszy zaś Andrzej, jeżdżąc z panem swym do Wielkopolski, ożenił się tam z poczciwem i bardzo urodziwem dziewczęciem, lecz i on niestety szczęścia w małżeństwie nie znalazł.

W siedmnastym wieku, to jest w czasie, w którym się toczy nasza powiastka, wierzono powszechnie w czary i w czarownice; szczególniej w Niemczech zabobon ten tak był rozpowszechniony, i tak się tam nad nieszczęśliwemi kobietami posądzanemi o czary pastwiono, że w jednem tylko hrabstwie niemieckiem od roku 1640 do roku 1651 spalono około tysiąca mniemanych czarownic.

Z Niemiec przyszedł i do Polski zwyczaj posądzania i prześladowania kobiet za czary; mianowicie zaś rozszerzył się w Wielkopolsce, jako graniczącej z Niemcami.

Otóż nieszczęście chciało, że żonę Andrzeja Połonki posądzono o czary i zawleczono przed sąd. Sądy na czarownice kończyły się zwykle śmiercią nieszczęśliwych na stosie żywcem palonych; żona Andrzeja uniknęła wprawdzie tego losu strasznego, dzięki zabiegom i staraniom zacnego dziedzica, który Andrzeja bardzo lubił i szanował, a o niewinności Andrzejki był przekonany, wiedząc że pewna dziewczyna przez zazdrość ją oskarżyła. Jednakże biedna Andrzejka, choć uwolniona, tak się przeraziła już samem badaniem, że w krótce potem umarła, zostawiwszy rozpaczającemu mężowi, malutką Terkę.

Andrzej, który żonę niezmiernie kochał, przeżył ją tylko trzy lata; leżąc na śmiertelnem łożu prosił swego pana, aby sierotę zaniósł do matki Andrzeja, a babki dziewczątka, która mieszkając wtedy przy Mateuszu, gospodarzyła mu jako kawalerowi.

Mateusz lubo był człowiek sprawiedliwy i uczciwy, nikomu krzywdy nie wyrządził i powszechnego używał szacunku, miał jednak serce z natury nieco twarde i obojętne na niedolę i cierpienia drugich.

Córeczkę po bracie przyjął chętnie do swego domu, ale zresztą nie zajmował się nią wiele, ani dbał o dziecko; wiedział, że matka da mu jeść, widział, że chodzi cało odziane, myślał więc sobie w duszy:

— Nie głodna, nie obdarta, cóż dzieciakowi więcej potrzeba? — i był pewien, że obowiązek opiekuna spełnił należycie.

Tymczasem Terka pieszczona i kochana u rodziców, a po śmierci matki prawie na rękach noszona przez ojca, nie mogła pojąć zmiany, jaka zaszła w jej życiu. Dopóki jeszcze żyła babka, nie czuła się tak bardzo opuszczoną, ale gdy stara matka Mateusza umarła, a po jej śmierci i stryja Idziego, który poszedł w kilka tygodni za swoją matką, żona jego, zwana Idkową, sprowadziła się z czworgiem dzieci do Mateusza, zaczęły się straszne czasy dla Terki.

Bo jeźli Połonka będąc obojętnym dla sieroty, nie robił jej przecież nigdy wyraźnej krzywdy, to Idkowa, kochająca tylko siebie i swoje dzieci, srodze dokuczała Terce. A co najgorsza, wygadała się przed sąsiadkami, że matkę biednego dziewczęcia, sądzono jako czarownicę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odwiedziny
zakładu wychowawczego gospodarstwa kobiecego i pracy domowej w Śremie.

W jednej z ustronnych i spokojnych ulic miasta Śremu, wznosi się dawny klasztor pojezuicki, w którym obecnie mieści się zakład wychowawczy gospodarstwa kobiecego i pracy domowej p. F. Szczerbińskiej. Jedyny ten zakład polski w całem Księstwie Poznańskiem, istniejący dopiero od lat trzech, mógłby się stać wielce pożytecznym i oddać spółeczeństwu naszemu znakomite usługi, gdyby doznał należnego mu poparcia i uznania.

Miałam w tym roku sposobność zwiedzenia tego zakładu i wyniosłam ztamtąd niezmiernie miłe i dodatnie wrażenie. Na samym wstępie już uderza przyjemnie czystość i porządek. Skromny salonik, urządzony gustownie, przepełniony wonią zręcznie ułożonych i umiejętnie poustawianych kwiatów z zakładowego ogrodu, wdzięczny, oku sprawia widok. Tak samo inne pokoje, sypialnie wychowanek są obszerne i jasne; wszędzie panuje wzorowy ład, czystość i porządek. Nie widać nigdzie zbytku, zastępuje go wszędzie skromność i prostota, które uwydatniają kierunek, w jakim wychowanie panienek jest tam prowadzone. Kierowniczka zakładu zrozumiała dobrze, że dziś więcej niż kiedykolwiek potrzeba wychowywać kobiety w tym duchu. Większa prostota obyczajów dawnych, silniejsze stanie kobiety przy obowiązku, nie dawało dawniej tego tak silnie uczuć, jak daje się to uczuwać dziś w rodzinach niezamożnych, w rodzinach ludzi pracujących. Konieczność ekonomiczna już je nieprzepartym gwałtem mieści między klasy średnie; cóż, kiedy nie ma u nas odpowiedniego im obyczaju i ztąd wytwarza się przepaść, która pochłania szczęście, uczucie sprawiedliwości i nawet dobroć serc kobiecych, przepaść życia nad stan.



FELICYA SZCZERBIŃSKA.

W mieście córka urzędnika, przemysłowca lub kupca średniej zamożności; na wsi, niebogatego dziedzica jednej lub dwóch wiosek, dzierżawcy, rządzcy nawet chowa się i kształci najzupełniej tak, jak córka klas wyższych. Nawyknienia jej i chęci są zupełnie takie same, i biorąc rzecz w jej następstwach, nie można się dziwić potem, że znajduje się tak mało przygotowaną do życia, że jej wyobrażenia i pojęcia rozpryskują się w obec rzeczywistości jak bańka mydlana, którą tylko z daleka podziwiać można. Skoro kobieta przez wychowanie i nawyknienie w młodości, wyobrazi sobie, że bez względu na majątkowe położenie, powinna używać życia tych klas wyższych, stósować je do form tam przyjętych, dzielić choć w części rozrywki i przyjemności upowszechnione w sferze tamtej, już grunt jej szczęścia, grunt jej obowiązku jest podkopany na zawsze i drżący pod nogami. I jeżeli nie dojdzie przez rozum do uznania sprawiedliwości w pojmowaniu położenia swego i rodziny, już jej nic nie uratuje, nawet praca i pracowitość największa. Znam wiele takich kobiet, które pracują bardzo usilnie i niezmordowanie, ale praca to nieużyteczna i choć niby to na korzyść ogniska domowego obracana, nie jest ani ulgą ani pomocą, bo wysiłki jej skierowane są dla utrzymania tego obyczaju niezgodnego z życiem ludzi pracujących, który rzeczywistego dobrobytu rodzinie nie zapewnia lecz wytwarza jej tylko istnienie sztuczne, więc nie naturalne, fałszywe, poświęcające wygodę, dla po-

zoru, rzecz dla formy. Praca taka nietylko zasługą pracującej być nie może, ale przeciwnie tylko jej w obowiązkach szkodzi, bo odrywa od nich i nie dobre zużytkowanie daje. Niech nikt nie powie, że wszystkiemu poradzić potrafi: bo to rzecz nieprawdziwa i też tylko pozorami ratować się mogąca. Nikt w dwóch miejscach razem być nie może, nikt razem zajęciem prawdziwem dwóch przedmiotów nie ogarnie i to co z myśli i pracowitego trudu jednemu poświęca, musi być odkradzione drugiemu.

Przez wychowanie skromne i rozsądne stara się przełożona zakładu ochronić powierzone swej pieczy dziewczątka od owych błędów życiowych, które są przyczyną ruiny szczęścia u tylu rodzin. Z całą usilnością usiłuje rozbudzić w uczennicach swoich zamiłowanie pracy, zaszczepić w ich sercach to przekonanie, że praca jest nietylko obowiązkiem i potrzebą ale i rozkoszą; że przedmiot najpowszedniejszego użytku staje się rzeczą ogromnej wartości przez pracę ludzką, która go uszlachetniła i ludzkość podniosła się głównie przez pracę, w której złożone są ziarna postępu. Nie ma żadnej wielkości na ziemi bez pracy.

Każda sztuka, talent wszelki jest owocem pracy; praca zdobywa nam wszystko: spełnioną powinność, zyskaną zasługę. Ze wszystkich nędz ludzkiego rodzaju, najcięższą nędzą jest próżniactwo, los człowieka nieużytecznego. Czy kto pracuje z potrzeby czy z zamiłowania, uszczęśliwia się zawsze przez pracę. To też panienki jak skrzętne, pracowite pszczółki krzątają się po całym zakładzie. Służby tam nie ma, uczennice utrzymują porządek w pokojach, zajmują się kuchnią, usługują przy stole i podają zręcznie, układnie i elegancko przybrane potrawy. Zajmują się praniem, maglowaniem i prasowaniem bielizny, trudnią się umiejętnie prowadzeniem ogrodu. Widziałam prześliczne roboty wykonane z wielką akuratnością ich pracowitemi rączkami i bardzo pięknie uszytą bieliznę. Przełożona zajmuje się z zapałem i gorliwością swoim zakładem; jest wszędzie sama, dogląda wszystkiego sama, zajmuje się wszystkiem, wie dobrze że wśród domowego gospodarstwa jest mnóstwo rzeczy małych, na których przecie opierają się rzeczy takie wielkie, jak n. p. zdrowie, więc kwiat pomyślności życia. Wie, że ochędożna czystość domu wymaga codzień umiecionej podłogi, otartych z kurzu krzeseł i stołów, wypłukanych starannie filiżanek, a wynikiem ogólnym tych małostek jest trwała atmosfera moralnego i fizycznego dobrobytu, czyli wytworzony szczęśliwie zbieg takich warunków, wśród których wyrabiać się może najszczęśliwiej charakter człowieka.

Po całodziennej pracy, gromadzi p. Szczerbińska wychowanki swoje około siebie i spędza z nimi całe wieczory, kształcąc i rozwijając ich umysł i serce. Czyta im pożyteczne rzeczy, uczy religii, pisania listów, wypracowań, rachunków gospodarczych i buchhalteryi.

Panienki korzystają bardzo wiele pod każdym względem. Ułożenie ich jest skromne, miłe i swobodne, obejście bardzo uprzejme, stósunek do przełożonej bardzo ufny i serdeczny. Inaczej też być nie może, gdyż serdeczne ciepło tejże, ogrzewa i opromienia całe jej otoczenie i zastępuje dzieciom szczęśliwie ognisko domowe, tkliwość i opiekę macierzyńską.

P. F. Szczerbińska przed założeniem swego zakładu zwiedzała i zbadała dokładnie wiele podobnych zakładów wychowawczych, a obowiązek pojęty przez nią wysoko i pełniony z przejęciem się, tak zniewala, że wykonując go, nie myśli wcale o sobie. I tak też być powinno. Powinnością jest, aby obowiązek był wykonany bez uczucia ofiary, która jednakże musi być jego treścią jak jest jego istotą moralną. Bo coś, dla czego się poświęcamy, musi być cenionem przez nas wyżej od nas samych.

Życzyć by należało gorąco, aby społeczeństwo nasze przyszło w pomoc

szlachetnym dążeniom i wytrwałej pracy pani Szczerbińskiej, powierzając jej opiece swoje córki, aby mogła jak największej liczbie kobiet dać wychowanie zapewniające dobrobyt i szczęście rodzinom.

M. K.

OSTATNI CHAN.

(Dokończenie).

Pozycya stawała się coraz trudniejszą, wielbłądy padały teraz masami. Z dziesięciu tysięcy, które miano wyruszając na wyprawę, pozostawała zaledwie trzecia część! W posępnem milczeniu dotarło wojsko do wzgórza zwanego »Adam Krylgan«, śmierć człowieka. Tu zatrzymano się, a głównodowodzący zwołał naradę wojenną. »Wiele pozostaje wielbłądów?« zapytał. »Dziś padło ich czterysta, jutro padnie drugie tyle, za trzy dni pozostanie ich tysiąc, a zresztą woda i tak już wysycha w worach« — brzmiała odpowiedź. Rozwinięto mapę sporządzoną na podstawie doniesień szpiegów. Do źródła najbliższego było 100 kilometrów; ażeby je przebyć, na to zgodzili się wszyscy, że brakowało już sił i koniom i żołnierzom. Bezradność i rozpacz malowała się na obliczach zebranych. Ale wódz nie stracił głowy. »Wojsko tu zostanie, a ja z kilku kompaniami piechoty i sotnią kozaków wyruszę naprzód, zabiorę z sobą co lepszego z koni i wielbłądów i odeszlę napowrót z zapasem wody, takim był rozkaz dzienny wydany po naradzie.

Stał on się ocaleniem wojska. Odświeżone przywiezioną wodą przebyło szczęśliwie ostatnią przeszkodę i nad obfitem źródłem w cieniu drzew rozbito obóz, który w obawie przed bliskim już wrogiem oszańcowano należycie.

Ostrożność ta nie okazała się zbyteczną, gdyż zaraz w nocy nastąpiły pierwsze starcia. Turkiestańcy próbowali podejść obóz, ale zostali ze znacznemi stratami odparci. Powtórzyło się to następnej i trzeciej nocy, ale zawsze z tym samym wynikiem. Wojsko wzrastało na duchu, jakkolwiek wiedziano, że utarczki staczane były tylko z przednią strażą wojska chańskiego i że główna rozprawa z niem nie będzie taką łatwą. To też gdy rozpoczęto dalszy pochód naprzód, czyniono to z zachowaniem jak największej przezorności, wysyłając przed i za siebie ciągłe zwiady. Po dwudniowej drodze ujrzano wreszcie szczyty gór Uczuczaku, u stóp których, jak wiedziano, rozłożyła się pierwsza kolumna lekkiej kawaleryi Chana. Teraz trzeba było się przygotować do bitwy, która mogła lada chwila nastąpić. Noc całą spędzono pod bronią, nieprzyjaciel jednak się nie ukazał, snać czując się już w sile i gardząc nocnym podstępem. Ranek zastał Moskali w szyku bojowym, po bokach na wzgórzach ustawiono armaty, w centrum uformowana w czworobok stała piechota, na prawem skrzydle za kępą drzew postawiono kawaleryę. Jakoż niebawem zaroiły się przeciwległe stoki gór od konnicy tatarskiej. Turkiestańcy uszykowali się starodawnym obyczajem w wielki półksiężyc. Ku niebu rozległ się okrzyk »Ałłach!« i jak lawina spadła cała ta masa koni i jeźdźców w dół ku moskiewskim szeregom.

Zatętniała ziemia, podniósł się tuman kurzu olbrzymi, z którego tylko było widać przednie szeregi zbliżającej się z błyskawiczną szybkością linii.

I zdawało się, że tej elementarnej prawie nawałnicy nic się oprzeć nie potrafi, że rozniesie ona w puch nieruchomo stojący czworobok rosyjski. Wtem rozległa się komenda ze środka czworoboku: »z frontu ognia!« Rozległ się huk wystrzałów, tysiąckrotnie powtórzony echem gór. Dym gęsty owionął Moskali. Teraz obie linie, i stojąca i

pędząca były zakryte. Dzieliło je już tylko paręset kroków. Ale z czworoboku ta sama komenda znowu się odezwała po raz drugi i trzeci i czwarty, a potem nieprzerwanie już z za kłębów dymu zionął ogień piekielny. »Ałłah, Ałłah!«, ale teraz już bolesne i rozpaczliwe. Tatarzy spadali całymi szeregami, z koni, schylił się też i spadł ku ziemi buńczuk. Ze zwartego półksiężyca pozostały już tylko luźne garstki uniesione pędem koni, których jeźdźcy wstrzymać o kilka mil od Chiwy, doszła wiadomość o klęsce dopiero nazajutrz. Przyniósł ją sam dowódzca pobitego oddziału, który stanąwszy przed obliczem władcy, padł na ziemię i drżącym głosem zawołał: »Bóg jest wielki i Mahomet jego prorokiem. Na synów twych panie, padło nieszczęście. Oto sam wracam z wyprawy, którą mi powierzyłeś, a ze mną garstka tak ranami okrytych, jak ja«. Mówiąc to, podniósł się z ziemi i wskazał lewą ręką na prawą



Nauczycielki i uczennice zakładu Śremskiego na początku lata 1897 r. (Obacz artykuł na str. 677.)

nie zdołali. Wreszcie i te garstki się przerzedziły, rozsypały i wkrótce w szalonym popłochu uciekały ku górze resztki tej samej świetnej i strasznej falangi, która przed chwilą niosła wrogom śmierć i zniszczenie. Bitwa była zakończona. Przerażone resztki Turkiestańców znikły niebawem na horyzoncie. Wojsko rosyjskie nie straciwszy ani jednego człowieka wyruszyło w dalszy pochód.

Do obozu Chana, znajdującego się zwisającą bezwładnie, gdyż strzaskaną kulą.

Wszyscy milczeli przerażeni wieścią i patrzeli na Chana, chcąc z wyrazu jego twarzy wyczytać, rychło rzuci wyrok śmierci na pobitego beja. Ale Chan milczał. Wiadomość ta otworzyła mu oczy. A więc są przecież ludzie, którzy mogą przejść obronną ręką pustynie i potem jeszcze rozbić mu parę tysięcy wybornej konnicy, a rozbić tak, jak jeszcze nikt nigdy od czasów pa-

mięci ludzkiej. I z tym wrogiem przyjdzie teraz spotkać się w ostatecznej rozprawie.

Prawda, że nienaruszona jeszcze główna armia, że dążą do boju najlepsze auły, a jest i trochę piechoty i armat parę, ale też jeżeli bitwa źle wypadnie, jeżeli ten wróg taki sprawny do boju i tym razem rozwinie całą swą, pomimo szczupłej liczby, znakomitą wyższość techniczną i strategiczną, wtedy koniec i tron chanów podzieli losy łami białego cara, ale wiedział też, że ma taką konnicę, jakiej nikt w świecie nie posiada. I na tej konnicy pokładał on całą nadzieję. Wprawdzie nieostrożnie rzucona na rotowy ogień, musiała tę nieostrożność przypłacić porażką, ale przy zmienionej taktyce niezawodnie pójdzie sprawa inaczej. A zresztą nie ma czasu do stracenia, trzeba działać. I w tej chwili okazał on prawdziwie królewską wspaniałość. Twarz jego o szlachetnych rysach i pięknych czarnych



Wychowanki zakładu Śremskiego przy pracy w ogrodzie. (Obacz artykuł na str. 677.)

tylu sąsiadów Rosyi. Tak myślał Said Mahomet, podczas gdy dworzanie jego sądzili, że szuka on jakiegoś nowego a strasznego środka tortury, by nim według zwyczaju ukarać nieszczęsnego Selima.

Chan był człowiekiem rozumnym i jak na azyatyckiego mocarza dość wykształconym. Wiedział on, że piechocie rosyjskiej jego piechota nie dorówna, że stare armaty wnet będą musiały zamilknąć przed ulepszonemi działami białego cara... oczach odziedziczonych po matce Turczynce, nie zmieniła pomimo otrzymanej wieści ani na chwilę swego spokojnego wyrazu. Wstał z kobierca, na którym dotąd nieruchomo siedział i donośnym głosem zawołał: »Wróg się zbliża, a my czekamy, niech każdy spieszy na swój posterunek, za godzinę wyruszamy nad brzegi Amu. Tam musiał się wróg zatrzymać, bo rzeka szeroka i nocą przebywać jej nie będzie«. Jakoż w godzinę później na białym jak

śnieg koniu wyjechał Chan przed obóz i stanąwszy na wzgórku, przypatrywał się pochodowi wojska. A więc szły na czele cztery auły ustjurskich Kirgizów na zwinnych, lekkich koniach, które parskały i rzucały się naprzód tak, że jeźdźcy ledwie mogli utrzymać szeregi; był to oddział sławny z tego, że potrafił zbliżyć się do wroga niespostrzeżenie, gdyż i konie były osobno wytresowane do podjazdowej walki i jeźdźcy znający wszystkie jary i komysze pustyni, spadający jak piorun na niebacznego wroga, zasługiwali na miano djabłów, którem ich pospolicie przezywano. Za nimi szła piechota uzbrojona w długie rusznice starego systemu nabijane z przodu. Składała się ona z Usbeków plemiona rolniczego, zamieszkałego nad brzegami Amu.

Dalej ciągnęły wielbłądy sześć wozów, na których leżały rury armatnie. Koła i rozebrane lafety niosły również wielbłądy. Zamykali pochód merwscy Turkiestańcy. Tych było najwięcej, bo do dziesięciu tysięcy. Rosłe ich konie rasy perskiej, doskonałe uzbrojenie w długie kindżały i błyszczące pistolety, a szczególniej sława najzawołańszych wojowników w całej Azyi środkowej, wszystko to usprawiedliwiało wyraz zadowolenia i dumy, który na ich widok ukazał się na twarzy Chana. Z takiem wojskiem można się było każdemu nieprzyjacielowi pokazać.

Wojsko szło wolno ze względu na piechotę, której nie chciano za sobą zostawiać. Jadąca po bokach muzyka biła w bębny i dęła w trąby, których odgłos rozlegał się hen po pustyni, zwiastując przybycie potężnego Chana ciągnącego na wojnę.

Nie mylił się Said Mahomet licząc, że Moskale nie odważą się na przeprawę przez Amu w bliskości nieprzyjaciela. Brzegi rzeki, do której nazajutrz dodarto, były puste. Postanowił więc Chan z wrogiem jak najdalej od stolicy się zmierzyć i dla tego zostawiwszy na lewym brzegu artyleryę i piechotę, sam z konnicą przeprawił się na brzeg prawy, następnie zaś w raźniejszem już tempie posunął się wzdłuż rzeki na wschód ku Mechekli, wioszczynie położonej tuż nad granicą Bucharską. Tam też nazajutrz wczesnym rankiem spotkały się przednie straże obu wojsk.

Po kilku drobnych utarczkach, w których z obu stron kilkunastu wzięto jeńców, cofnęły się straże do głównych linii, które o dziesiątej przed południem stanęły naprzeciw siebie w szyku bojowym.

Moskale utworzyli znowu czworobok, Chan zaś rozwinął swe wojsko na szeregu wzgórz, których środkowe obrał jako stanowisko dla siebie.

Pozycya była wyborna. Długość linii tatarskiej oskrzydlała skupione wojsko rosyjskie, którego nie dość liczna konnica skutecznie boków chronić nie mogła. Z tego skorzystał Chan i wysłał do wstępnego boju zwinne ordy kirgizów. Okrążyli oni wielkiem kołem czworobok rosyjski i rzucili się ku trenowi ulokowanemu z tyłu za linią bojową. Na pomoc trenowi pospieszyło kilka sotni kozaków, rozpoczęła się zajadła utarczka, wśród której kilkakrotnie to kozacy, to kirgizi mieli przewagę.

Wreszcie ci ostatni będąc o wiele liczniejsi, otoczyli półkołem cały tabor i gnając przed sobą kozaków, wpadli na czworobok. Nie rozbili go jednak, gdyż sam się rozstąpił dzieląc się na kilka części. Przez powstałe luki wpadli uciekający kozacy i schronili się aż za przednią od strony wzgórza linią, kirgizów zaś zwróciła mordercza salwa piechoty, która poprzednio niechcąc do swoich strzelać, musiała wroga aż na kilkadziesiąt kroków dopuścić. Kirgizi bezładnie uciekali aż za tabor ku rzece.

Teraz nastała stanowcza chwila. Chan dopiął swego. Czworobok moskiewski był rozstawiony na kilka oddziałów, które strzelać w kierunku wzgórza nie mogły, mając przed sobą rozbite sotnie kozaków.

Na wzgórzu na którem stał Chan, pochyliła się trzy razy zielona chorągiew z półksiężycem. Był to znak do ataku. Jak wicher ruszyły z kopyta turkestańskie pułki. Konie i ludzi ogar-

nął jakiś dziki szał. Dziesięciotysięczna masa runęła w doł ku Moskalom, których porozstawiane bataliony żadną miarą nie mogły temu wściekłemu zapędowi się oprzeć. Zrozumiał to dobrze dowódzca rosyjski. Ogarnąwszy w jednej chwili okiem całą sytuacyę, czuł, że już mu nie pozostaje dość czasu, by napowrót uformować czworobok, a na tem zdawał się polegać jedyny ratunek.

Znalazł go jednak w inny sposób przytomny generał. Na kilka set metrów przed linią rosyjską teren znowu zaczynał się wznosić do góry, tak że z konieczności Tatarzy musieli swój zapęd zwolnić. Miało też wojsko rosyjskie kilkaset psów, dużych kwiożerczych kundli, które umyślnie do pościgu rozbójników stepowych bywają tresowane i każdej rosyjskiej wyprawie w głąb pustyni towarzyszą. Psy te kazał on wypuścić w chwili, gdy Tatarzy dostawszy się przed pagórek zwolnili znacznie swój bieg. I stało się, co przewidywał. Rozjuszone kundle wpadły między konie rzucając się im do karków i szczekając wściekle. Niespodziewany ten napad zmięszał Tatarów, konie przestraszone łamały szyki i stawały dęba, jeźdźcy kindżałami rąbali rozbestwione zwierzęta. Atak cały został na chwilę wstrzymany; ale też tylko o tę chwilę chodziło Moskalom. Zyskawszy na czasie zbiegli się co prędżej w czworobok w którego środek objęli sotnie kozackie i gdy wreszcie dopadli do nich Tatarzy, powtórzyły się te same sceny, jak trzy dni przedtem.

Rotowy ogień położył wałem pierwsze szeregi turkestańskie, dalsze rozbiły się o mur nadstawionych bagnetów i niebawem z całej wspaniałej armii Chana pozostały bezładne kupy uciekające ku Chiwie. Uciekał też i Chan chcąc w stolicy swej do ostatecznej obrony się gotować i przynajmniej z chwałą zginąć. Lecz wieść o klęsce już go była wyprzedziła. W mieście zastał otwarty bunt, wszystkie karby posłuszeństwa się rozprzęgły, to też gdy po upływie kilku dni nadciągnęły wojska rosyjskie i artylerya zrobiła w murach wyłom, przez który pierwszy wpadł do bastionu ówczesny pułkownik a późniejszy generał Skobelew, wtedy Said Mahomet zmuszony przez własnych poddanych zaprzestał bezowocnej walki, i poddał się warunkom nałożonym mu przez zwycięzcę. Były one twarde. Pozostawiono mu wprawdzie tytuł i honory należne monarsze, ale odstąpić musiał na rzecz ustanowionych do tego komisarzy rosyjskich najważniejsze atrybucye swej władzy. Zabrano mu nawet tron srebrny, na którym dotąd poselstwa przyjmował i sprawiedliwość wymierzał, a który obecnie zdobi carski skarbiec w Petersburgu. Nad Chiwą zwyciężyła na zawsze żelazna ręka Rosyi.

CIEŚLA.

GAWĘDA LUDOWA.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę.
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu skwar piecze;
Wytchnij nieco, człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli;
Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawie siadła,
A spędzając znój szczery,
Szturm przypuszcza do jadła.

Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobył lulkę, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy
I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:

— Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,

Zrobi topór, lemiesze,
Stuknie, puknie w kowadło
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry wiosce pożytek.
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i pługa,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

Młynarz puścił zastawki,
I zsypuje w kosz zboże, —
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może!
A jego trzódka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy;
Od dobrego człowieka
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i struga,
Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

Skrzypek piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi, —
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czyńcie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica niesucha;
I co milsze rozkosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica coś warta;
Lecz cieśli licha płaca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

Ot i dzieci, i młodzi,
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdej chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;
Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą, —
Ksiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów...
»Oj danaż moja, dana!«
Ruszyć w swadźbę już gotów.
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wózek chłopcowi?
Jak okują kolosa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie:
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojej ciesielki?
Toż pytanie nielada!
A gdy celu dolata,
Cieśli, starego dziada,
Nie zaprosi na swata:
Pieniędzmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

Kiedy lato przeminie,
Dni dożynek nadbiegą,
Stołu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże, z heblem i piłą
Śpiesz się, cieślo, do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła:
Lecz gdy jadło przynieśli
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniej drużynie
Zapomnieli o cieśli...
A on ich mozół skraca,
Wprawia sosznik do pługa.
Oj, lichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

»Młodzian przeżył wiek długi.
Zstarzał i umarł wreszcie.
Śpieszcie do cieśli, śpieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę mu zrobił
Wielce sztucznej roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;
Dziś — nagrodzą Niebiosa! —
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

»Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota,
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie, —
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwala,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca;
Do mnie anioł stróż mruga,
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

»Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiej roboty!
Bom wyuczył nielada
Kilku z wioskowej młodzi.
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada.
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;
Poczciwa była praca,
Dobra będzie zasługa!«

CHRZEŚCIJAŃSTWO W AFRYCE.

W czasach cesarza Konstantyna Wielkiego, górna część Egiptu, dzisiajsza Abisynia, zaciekawiła ludzi, ponieważ przedtem była prawie całkiem nieznana. Uczony przyrodnik puścił się tamdotąd w podróż i przywiózł cesarzowi tamtąd na podarek drogie kamienie niezwykłej piękności. Skutkiem tego udał się tamdotąd Meropiusz, kupiec Tyryjski, aby poznać kraj, naturę jego i produkta. Wziął ze sobą dwóch siostrzeńców, Frumencyusza i Ederyusza, chłopców delikatnego wieku, których po drodze uczył, bo Meropiusz nie tylko był kupcem, ale i uczonym. Gdy sądził, że wypełnił ile możności to, po co pojechał, pomyślał o powrocie. Aby zabrać świeżej wody i żywności, przybił z okrętem jeszcze raz do lądu. Siostrzeńcy oddalili się nieco od okrętu, aby czytać w książce. Kiedy krajowcy zobaczyli obcych ludzi, zebrali się, napadli podróżnych i zabili ich. Lecz skoro spostrzegli chłopców czytających pod drzewem, zostali tak ujęci ich pięknością, że ich zaprowadzili do swego króla, któremu się też obaj chłopcy bardzo spodobali i kazał ich wychować i wyuczyć według zwyczajów kraju. W ten sposób zamieszkali Frumencyusz i Ederyusz pomiędzy Etiopczykami, ponieważ dostali się do Etyopii. Kiedy dorośli, uczynił ich król wysokimi urzędnikami kraju, a gdy umarł, królowa obu braci wzięła do rządów, podczas kiedy syn jej był nieletnim. Wpływu wielkiego, jaki miał Frumencyusz, użył przedewszystkiem na to, aby pomagać chrześcianom, mieszkającym w kraju i przywołać kupców chrześciańskich do kraju. Zachęcał ich do tego, aby się zbierali na wspólne nabożeństwa, i wybudował im nawet kościół, tak że już wtenczas położył fundamenta do skutecznego zjednoczenia chrześcian i gmin chrześciańskich.

Skoro młody król stał się pełnoletnim, obadwaj bracia złożyli swoje urzędy i prosili, aby im było wolno wrócić do ojczyzny. Frumencyusz udał się do Aleksandryi, do św. Atanazego, i oznajmił mu, że chrześciaństwo zaczęło zapuszczać korzenie w Etyopii; prosił go przytem, aby wysłał tamdotąd biskupa. Atanazy chętnie wysłuchał prośby i zawołał z królem owym egipskim, któremu mądry Józef wyłożył sny: »Jakiegoż innego męża jak ciebie moglibyśmy znaleść, na którym spoczywa duch boży i któryby był stósowniejszy do tej sprawy, jak ty?« Wyświęcił tedy Frumencyusza na biskupa (roku 326) i posłał go do Etyopii. Frumencyusz działał pomiędzy ludem w sposób bardzo błogi, i dziś jeszcze tamtejsi mieszkańcy czczą go jako swego apostoła. Bóg dał mu dar czynienia cudów, a więc i w tem był podobnym do apostołów Chrystusa Pana. Ludu mnogo nawróciło się do wiary. Opowiada o tem Ederyusz, dawniejszy towarzysz Frumencyusza, który został kapłanem w Tyrze.

Wten sposób stało się to, co niby z początku było nieszczęściem, dla Frumencyusza i dla kraju, który nawrócił, szczęściem, i znowu pokazało się, jak prawdziwem jest słowo: »Cudowne są o Panie, sądy twoje i niezbadane drogi twoje«.

Na ostatniej granicy Arabii, tam

gdzie mędrcom ze wschodu ukazała się gwiazda, kiedy świętą tęsknotą pobudzeni szli do Jerozolimy, mieszkali Homeryci, do których przybyli kupcy chrześciańscy. Zdaje się, że w tym kraju wielu przyjęło chrześciaństwo, bo cesarz Konstantyn posłał tamdotąd posłów z kosztownymi podarkami, aby było wolno tam budować kościoły. Na czele poselstwa stał biskup Teofil, który urodzony w Indyach, dostał się jako mały chłopiec na dwór cesarski, a potem został mnichem. Z powodu swej pobożności słynął i został umyślnie wyświęcony biskupem, aby poszedł do Homerytów. Udało mu się też króla nawrócić do chrześciaństwa i napełnić go pragnieniem, aby cały kraj stał się chrześciańskim. Wybudował trzy kościoły, jeden w mieście stołecznem. Teofil wrócił do Homerytów do swej ojczyzny, aby tam poprawić wiele w sprawach kościelnych. Potem wrócił do Arabii, gdzie resztę życia poświęcił dziełu, jakie począł z widocznem błogosławieństwem boskiem.

Iberyjczycy, naród nad morzem Kaspijskiem, w dzisiejszej Georgii, wpadli pewnego razu do państwa rzymskiego i zabrali wielu do niewoli. Pomiędzy nimi była chrześciańska niewiasta, która i w niewoli wiodła życie bardzo pobożne. To zdziwiło ludzi, a niewiasta jeszcze więcej zasłynęła, kiedy oświadczyła, że służy Bogu postem, modlitwą i czuwaniem nocnem. Kobiety Iberyjskie często odwiedzały chrześciankę. Był tam zwyczaj, że kiedy kto zachorował, obchodzono domy i pytano o radę. Pewnego razu obnosiła matka swe chore dziecko, a nie znajdując nigdzie pomocy, przyszła do chrześcianki, która powiedziała, że ludzkich leków nie zna, lecz że Pan Jezus, którego wyznawa może i takich uleczyć, dla których ludzie nie mają ratunku. Wzięła tedy dziecko chore, położyła je na swem łóżku, modliła się nad niem i oddała je zdrowe w ręce matki. Uleczenie to rozgłosiło się po kraju, dowiedziała się o tem i chora królowa. Kazała do siebie zawołać niewolnicę chrześciańską, aby modlitwa jej uzdrowiła chorą. Lecz chrześcianka iść nie chciała ze skromności, aby z mocy leczenia nie było dla niej sławy, i z naturalnej bojaźni. Dla tego chora królowa kazała się zanieść do jej mieszkania i uzyskała skutkiem modlitwy pobożnej niewiasty zdrowie. Chrześcianka nie przyjęła żadnego daru, jaki jej królowa ofiarowała, ponieważ nie jej, jak oświadczyła, lecz Chrystusowi, Synowi bożemu, Panu życia i śmierci, ma zdrowie do zawdzięczenia, Jego ma królowa wezwać, który daje królom państwa a ludziom życie. Chociaż król bardzo się cieszył z cudownego uleczenia, i chociaż królowa bardzo go błagała, aby się nawrócił, długo się namyślał.

Kiedy jednak pewnego dnia był na gonie (polowaniu), powstała naraz mgła gęsta, towarzysze króla zbłądzili i odłączyli się od niego. Pozostał sam i nie wiedział, kędy się obrócić w gęstwinie, bo nie znał drogi a mgła była ciemna. Wtem przypomniał mu się Bóg chrześcian i do niego zaczął wołać o pomoc. I oto, zaraz mgła opadła. Król wraca do pałacu, woła niewolnicę chrześciańską, aby powiedziała, jak czcić Chrystusa. Król i królowa stali się chrześcianami i wezwali cały lud do chrześciaństwa. Król kazał wybudować kościół, a kiedy przy budowie ludzie nie mogli podnieść kolumny, modlitwa chrześcianki sprawiła, że kolumna sama się w górę wzniosła, zawisła w powietrzu, a nazajutrz spuściła się sama, bez pomocy ludzkiej na swój fundament w obecności króla i wielu ludzi, jak opowiada dziejopisarz Rufinus. Widzimy jak w różny i cudowny sposób szerzyło się na świecie chrześciaństwo!

Ze świata legend i baśni.

(Ciąg dalszy.)

Nie żyją owe postacie na większym obszarze ziemi polskiej; wiadomość bowiem o tem podaniu rozeszła się dalej dopiero znacznie później. Najlepszym tego dowodem jest okoliczność, że ani lud mazowiecki, ani podlaski, ani którykolwiek inny polskiego narzecza nie opowiada powieści o Krakusie i Smoku. Tylko w okolicach Krakowa usłyszeć ją można. Nie uwłacza to przecież wcale owemu podaniu, ani też nie zmniejsza bynajmniej jego głębokiej starożytności, sięgającej swoim początkiem pierwotnej epoki słowiańskiego pogaństwa.

Inaczej występują w ludowej poezyi olbrzymie postacie Wyrwidęba i Waligóry, dwóch braci rodzonych. Jakkolwiek Wyrwidąb i Waligóra swoją istotą moralną, wewnętrzym charakterem nie przedstawiają innego pojęcia nad to, jakieśmy widzieli przywiązane do góry wawelskiej, przecież rozpowiada o nich prawie wszystek lud polskiego narzecza. Możemy nawet stanowczo twierdzić, że podanie o tych dwóch olbrzymach było od najdawniejszych czasów przez polski lud powtarzane, było zatem powszechnem mitologicznem pojęciem dualistycznych wyobrażeń, uosobionych podobnie w Wyrwidębie i Waligórze jak w germańskim olbrzymie zwanym Jötuun, Etyn, Etemine albo w szwedzkim Jötte lub duńskim Jette, którzy również staczają straszne walki ze smokami, czyli z duchami ciemności, z siłą powszechnego zniszczenia...

Nie możemy się tu powstrzymać od przytoczenia jeszcze jednego przykładu, pochodzącego z podań ludowych w okolicy Krakowa. Lud nie czytał nigdy Raju utraconego Miltona, a przecież maluje w swojej opowieści walkę, jaką tylko w owym utworze znaleźć można. Jakaż była przyczyna tej walki?

— Nie podobały się twórcze rządy boga-światła — mówi podanie — bogowi ciemności, więc wypowiedział mu wojnę, mówiąc:

— Jam silniejszy w cieniach nocy od światła twego, więc co ty uczynisz, wszystko zniszczę!...

Straszna była wojna niebieska, światło walczyło z cieniami nocy, miecze aniołów ścierały się z sobą, strony walczące zdawały się być równe... Lecz Bóg-światła, Ojciec niebieski, zwyciężył księcia ciemności, i z rozkazu boskiego Archanioł Michał ciął mieczem w głowę przeciwnika, Lucypera, nareszcie obaliwszy go świętą stopą swoją, strącił z nieba w straszne otchłanie piekielne...

Lucyper uwiązany jest do słupa na środku piekła: uwiązał go św. Michał. Łańcuch, na którym uwiązany, przykróca mu się w Wielki Piątek i z roku na rok staje się coraz cieńszy, w końcu nawet mu się urwie — bo on jeszcze wojować będzie z bogiem-światła...

Podobne podania znajdują się w każdej mitologii i w każdej literaturze ludu, przechowanej w żywem słowie od niepamiętnych czasów. Na Kaukazie np. w okolicy miasta Tyflisu, jest przykuty do pieczary pod górą Jałbuz (Elbrus) rycerz Ariman, odpowiadający Prometeuszowi Hellenów. Rycerza tego pilnuje pies wierny, liżąc ustawicznie łańcuch jego okowów. Wskutek ciągłego lizania, łańcuch staje się coraz cieńszym, znać to najbardziej na wiosnę. W tym czasie też pewnoby uciekł Ariman, i zacząłby znowu siać zniszczenie naokół — kowale jednak kaukazcy wiedząc o tem, każdego roku w Wielki Czwartek, przychodzą dodnia do pustego kowadła i z całą powagą uderzają w nie młotem trzykrotnie, przez co więzy owe wzmacniają się znowu na rok cały.

Niepodobna poetyczniej upostaciować zwycięztwa wiosny nad okowami zimy, pokonanie siły zniszczenia, śmierci, przez pierwiastek twórczy życia... Takież same opowieści posiada Ukraina, podobne

żyją na dalekim Wschodzie i u różnych ludów Europy.

Pojęcie smoka, żmiji, jako symbolów a raczej przedstawicieli pierwiastku ciemności, zniszczenia, śmierci, w średnich stuleciach przeobraziło się nieco pod wpływem jasnych promieni chrześciaństwa.

Mamy tu na myśli tysiące walk przeróżnych, dokonanych przez liczne zastępy świętych pańskich chrześciańsko-katolickiego Kościoła. Komuż np. nie znana waleczna postać świętego Michała, który unosząc się na białym koniu, pokonywa straszliwego smoka? Jest to nadziemskiej wielkości rycerz. Nie ustępuje mu w niczem św. Jerzy, przedstawiany zwykle w postaci uzbrojonego rycerza na koniu, zatapiającego włócznię w wnętrznościach ognistego smoka. Podanie o zabitym przez świętego Jerzego smoku, spotykamy już to pod postacią bohatera oswabadzającego Libję od straszliwej wielogłowej bestyi, zarażającej morowem powietrzem okolice miasta Syleuny, już pod postacią oswobodziciela córki potężnego króla przez smoka napadniętej.

Podobnież i u krakowskiego ludu występuje w rycerskim charakterze postać świętego Jerzego, który pokonał strasznego smoka, co objadał całą okolicę podgórską. Został też za to prawdziwie po królewsku wynagrodzony, albowiem, mówi podanie: Najświętsza Panienka przez wdzięczność ofiarowała św. Jerzemu księżyc na mieszkanie, gdzie żyje po dziś dzień i na gwieździstym wozie jeździ. Dawniej jeździł on na koniu.

Rzuciwszy okiem na zachód Europy, spostrzeżemy, że każde niemal z miast francuzkich zalicza wydarzenie ze smokiem do pierwiastkowych czasów swojej historyi. Miasta n. p. Orlean, Metz, Bordeaux, Reims, Grenoble, długo przechowały pamięć smoka w tradycyach swoich. Miasto Rouen, podobnie jak Kraków, założenie swoje odnosi do walki smoka ze świętym Romanem, za czasów Klodoweusza. Smok niszczący tamtejsze okolice, zagraża samemu miastu nawet, pada jednak ofiarą poświęcenia świętego Romana

Ale nie skończylibyśmy wielkiej liczby opowieści i legend przywiązanych do średniowiecznych świętych rozmaitych. Toż śś. Paweł, Marceli, Erazm, Gerwazy, Teodor, Juljan, Andrzej i wielu innych walczyli za życia niejednokrotnie ze smokami, a skutkiem walki bywało zawsze zwycięztwo nad potworem i przywrócenie bezpieczeństwa wiernemu ludowi pewnej okolicy, lub też pojedyńczym jednostkom. Jakież tedy rzeczywiste znaczenie kryje się w legendach o walce świętych pańskich ze smokami? Oto po zaprowadzeniu chrześciaństwa smok stał się symbolem złości, odszczepieństwa i herezyi, ciemności starego porządku rzeczy wobec światła Chrystusowej nauki. Podanie odwieczne, pogańskie, przybrało się w szaty chrześciańskiego charakteru i dość rzucić okiem, aby się przekonać o jednych i tychże samych pierwiastkach tam i tu istniejących. W nowym porządku rzeczy, spowodowanym zasadami nauki Chrystusa, cały świat pogański uważany był jako pierwiastek złego, źródło ciemności i zabobonów, przeszkadzające rozwijaniu się nowych zasad. Pojęcie to oddawano zazwyczaj obrazem smoka szerzącego na okół zniszczenie, ztąd też rozkrzewiciele nieznanych dotąd idei, apostołowie i święci, musieli się spotykać na każdym niemal kroku z owym strasznym potworem, musieli z nim morderczą toczyć walkę o zdobycie palmy zwycięztwa. Tym tedy sposobem odwieczne mitologiczne pojęcia, przetrwały do naszych czasów w niezliczonej liczbie legend i podań ludowych, z tą tylko różnicą, że pierwsze występują w świętych barwach chrześciaństwa, podczas gdy drugie nie zmieniły prawie ani na jotę prastarej szaty. Okoliczność ta właśnie dowodzi z jednej strony głębokich spostrzerzeń i pojęć zawartych w żywem słowie pieśni i legendy ludowej, potwierdza istnienie odwiecznych zasad kosmogonicznych, z drugiej znowu popiera siłę tradycyi, stanowiącą nierozłączną właściwość ludu. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 28-go Października 1897. Nr. 43.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Dzień 10-go Października w historyi polskiej.

Kiedy Osman, sułtan turecki, najechał Polskę z 300 tysiącami Turków i 100 tysiącami Tatarów, padł strach na Polskę, bo jak Krasicki powiada w opisie wojny chocimskiej o sułtanie:

»dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu.«

Ale nieustraszony wódz polski, Karol Chodkiewicz, widząc niebezpieczeństwo wielkie, zagrażające nie tylko Polsce, ale całemu chrześciaństwu, opuścił na pierwszą wieść co dopiero zaślubioną Annę, zgromadził 35,000 wojska, które miało tak groźnej potędze tureckiej śmiałe stawić czoło.

Siła wprawdzie wojska była małą, ale zapał niezmierny, bo tu szło o największe dobro człowieka, o wiarę i wolność. Dla tego to walka gotowała się na życie lub śmierć; tu się miało rozstrzygnąć, kto miał władać światem, koran czy Ewangielia, półksiężyc pohańców, czy też krzyż wiernych.

Ufny wódz polski w pomoc Bożą j męztwo dzielnego rycerstwa polskiego, uderzył z tą małą siłą pod Chocimem na potężne szyki Turków i Tatarów. Dwanaście godzin bitwa trwała, Polacy na głowę porazili Turków. Było to 1621 roku dnia 11 Września.

W trzy dni potem Turcy uderzyli znowu na naszych, ale z ogromną stratą odparci, pierzchnęli w nieładzie. Widząc to nasi, ścigali ich do samego obozu i sprawili tamże straszną rzeź. Ale na tem jeszcze nie dosyć; nazajutrz t. j. 14 września, Turcy mając jeszcze przeważające siły, nie poprzestali na danej sobie nauce, ale z wrzaskliwym krzykiem »Ałłach« wpadli na Polaków, lecz nasi tak się z nimi gracko uwinęli, że i tym razem zbili ich do szczętu. Legło Turków i Tatarów kilka tysięcy; zginął ich wódz naczelny Karakasz, i cały obóz turecki dostał się w ręce Polaków, a z nim ogromne łupy i bogactwa.

Nie długo cieszył się tym tryumfem Chodkiewicz, osłabiony trudami wojennymi i wiekiem, umarł w Chocimiu 23 Września, oddawszy dowództwo Stanisławowi Lubomirskiemu. Dowiedziawszy się Turcy o tej dotkliwej stracie Polaków, nabrali serca i jeszcze kilka razy zmierzyli się z Polakami, ale poznali, że męztwo Polaków nie spoczęło z Chodkiewiczem w grobie. Tylekrotnie zbici, zaczęli błagać o pokój. Przystali na to Polacy, bo sami wycieńczeni, znali dobrze wielkie niebezpieczeństwo, jakie jeszcze nigdy Polsce nie zagrażało. Stanął więc pokój 8 Października.

Kościół nasz święty, widząc jakie dobrodziejstwo wyświadczyła Polska z pomocą Bożą całemu chrześciaństwu, wyznaczył dzień 10 Października na coroczne składanie dzięków Najwyższemu za ową niewymowną łaskę, która się przez polski objawiła oręż. W dniu tym składa Kościół dzięki Bogu po kościołach polskich na pamiątkę owego dnia chwały, który zajaśniał dziadom naszym przed dwoma z góry wiekami.

PODARUNEK.

OBRAZEK Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

Miasteczko W. w Galicyi jest małą, lichą mieściną, chyba tylko ztąd sławną, że posiada browar i propinacyą — szynków i szyneczków mnóstwo, gdzie »k r o p l e« naród pije — a pije. Ba! i z tego sławne to miasto, że błota znajdziesz w niem po kolana o każdej porze dnia i roku, chyba… że twarde mrozy. Mieścina ta jest zarazem siedzibą c. k. sądu powiatowego i posiada pana adwokata.

Adwokat obok sądu jest potrzebny, lecz nie wszyscy ludzie prawdziwemu adwokatowi zawierzają, bo to jest pan, co sprawę jak się patrzy przeprowadzi, ale żąda odpowiedniej zapłaty; więc niektórzy wolą raczej poszukać sobie innego adwokata, t. j. pokątnego pisarza, który z początku niby za cobądź nawet w szynku przyobieca wieśniakowi skargę lub coś podobnego napisać, a potem wodzi go za nos, zwykle nic dobrego nie zrobi a wyłudzi od nieświadomego więcej pieniędzy, niżby ich był wziął prawdziwy adwokat. A w tem miasteczku było tych pokątnych pisarzów jak trutniów w ulu, a każdy prawie nie źle żył; dobry to kawałek chleba do pewnego czasu!...

Jeden z takich niby — adwokatów mieszkał w ciasnej uliczce, naprzeciw domku szewca. Adwokat ów z szewcem w ciągłej żyli niezgodzie — nie wiem, czyli dla tego, że byli sąsiadami, czy też z jakich innych powodów, dość na tem, że się nienawidzili.

Pewnego razu zobaczył majster kunsztu szewskiego przez okienko, iż z domu jego sąsiada, adwokata, wyszedł wieśniak niezmiernie zaturbowany. Zabolało serce poczciwego szewca, bo wiedział, że ów pisarz pokątny nie zawsze z ludźmi według sumienia postępuje, więc wyszedł na próg i wszczął rozmowę z wieśniakiem. Od słowa do słowa, aż się i wygadał wieśniak, że ów adwokat prowadzi mu sprawę sądową, która coraz gorszy bierze obrót, chociaż on ma słuszność po swojej stronie.

— Żebyście wy człowieku — rzecze szewc — jaki prezent zrobili waszemu pisarzowi, toby może lepiej pokierował piórem.

— Alboć mnie ta sprawa już dużo nie kosztuje? Płacę co sobie każe i pieniądzmi, zbożem i różnemi rzeczami.

— Ba! nie o to chodzi — przerwie szewc — to mu płacicie za jego robotę; ale gdybyście mu taki jaki padarek z własnej ochoty zanieśli?

— Albo ja też wiem, co robić — rzecze zaturbowany wieśniak, — a z czegóżby on był najkontentniejszy?

— Oto widzicie — prawi szewc przyciszonym głosem — on dużo wypotrzebuje piasku, on to kupuje, a bardzo go ucieszycie.

Wieśniak popatrzył na mówiącego niedowierzająco.

— Ależ tak gospodarzu, zróbcie tak, a zaręczam, że wasza sprawa zaraz się poprawi.

— A to dobrze — odrzekł wieśniak — dyć ta o to fraszka, przyniosę jutro choćby i pełny worek.

Na drugi dzień otwierają się drzwi do mieszkania pana adwokata, wchodzi ów wieśniak obciążony potężnym workiem piasku na plecach.

Widząc to adwokat i będąc pewny że to zboże, skoczył uradowany do wieśniaka i najgrzeczniej go przywitał:

— Cieszy mię bardzo, bardzom zadowolony — prawił pisarz pokątny, podczas gdy wieśniak rzucił swój ciężar na podłogę.

— Niech też pan adwokat nie gardzi i niech przyjmie prezent...

— Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję — mówił adwokat szybko, nie dając dokończyć wieśniakowi.

— Ten oto worek... piasku... — dodał przybyły.

Adwokat popatrzył zdziwiony na mówiącego.

— Co? co to jest? — zakrzyczał gniewnie.

— Ano piasek, proszę pana — lity piasek, jak szkło czysty — ciągnął wieśniak otwierając worek.

— A do pioruna, to wy sobie ze mnie tak żartujecie? Wyrzucić ten worek za drzwi. Ja was nauczę, z kim macie do czynienia! — krzyczał rozsierdzony pan pisarz.

— Ale... bo... dyć... — tłumaczył się biedny chłop — to proszę pana nie ja, to mi tak poradzili ludzie; ten szewc, to dobry człowiek, mówił, że pana tem ukontentuję.

— Kto wam poradził, szewc? Chodźmy do tego łajdaka! — I w mgnieniu oka już byli pod okienkiem majstra szewskiego.

— Siedź sobie ty w swej budzie i pilnuj pocięgla i dratwy! — zawołał gniewnie pisarz do szewca — a nie wtrącaj się do moich interesów; rozumiesz ty... ty...

— Dobrze panie adwokacie, — rzekł szewc drwiąco, przybliżając się do otwartego okna — ja siedzę w swojej budzie i zarabiam uczciwie dratwą, ale ty jesteś cyganem, oszustem; okpiwasz ludzi, wiem ja o twych sprawkach!

— Co? ja oszust?... ty dziadu!

— Co ja dziad?... ty złodzieju!

I porwali się za łby przez otwarte okno!

Który którego lepiej utraktował i jak ta cała bójka wypadła, nie będę opisywał, bo na to dużo ludzi patrzało, więc mogą ciekawym opowiedzieć; ja tylko dodam, że w krótkim czasie sta-

wali przed sądem: szewc, adwokat i wieśniak.

Tu dopiero wyjaśniła się cała sprawa dokładnie, każdy został sprawiedliwie osądzony. Najgorzej na tem wyszedł przemądry pisarz, gdyż odpokutował za dawne sprawki i oszustwa, jakie z chłopami »należycie« poprzeprowadzał i odtąd zabroniono mu surowo trudnić się pokątnem pisarstwem.

I do czego to doprowadził niewinny podarunek z piasku!

Róbże tu komu prezenta!

Franciszek Marzec.

ŻABY.

Żaby niezawodnie każdemu znane z widzenia, są nadzwyczaj lękliwemi zwierzętami, które lada szelest do ucieczki znagla. Żyją one częścią w wodzie, częścią na lądzie i żywią się małemi zwierzętami wodnemi, rybią ikrą, glistami i owadami. Czasem pożerają osobniki własnego gatunku, n. p. małą żabkę.

Młode żabki dość szczególnym sposobem z ikry powstają. Kulka śluzu mieści czarny punkcik, który codzień staje się większy, wydłuża się i wykształca na młode zwierzę. W tym stanie zwierzątko nazywa się kijanką. Kijanka jest podobna do rybki. Wkrótce wyrastają jej skrzele podobne do gałęzistych piórek, lecz wkrótce zanikają, a natomiast powstają skrzele wewnętrzne; przytem ciało kijanki wydłuża się i po pewnym czasie widać tylne nogi. Przeobrażenie coraz żwawiej postępuje. Ogon zanika poczynając od wierzchołka, lecz długi czas pozostaje sęczkowaty jego ślad; skrzele znikają, a natomiast powstają płuca; wyrastają przednie nogi i ostatecznie powstaje skacząca żaba we właściwej sobie postaci. Podczas ciepłych nocy letnich samce skrzecząc tak się stają nieznośne, że niejeden radby zatkać uszy, by tylko nie słyszeć tej kapeli. Na innych znów taki koncert żabi nie czyni przykrego wrażenia. Kto wreszcie nie jest przyjacielem takiej muzyki, a mieszka w bliskości stawu, może się od niej uchronić, stawiając nad brzegiem wody latarnię, lub zapalając ogień, gdyż muzykanci wówczas zamilkną.

Najpiękniejszą zpomiędzy naszych żab jest żabka drzewna, z jasno zielonym grzbietem i białym brzuchem; obie barwy są oddzielone ciemnemi smugami. Końce palców żabki są kulkowato nabrzmiałe i lepkie; zapomocą nich żabka z łatwością chodzi po najgładszych powierzchniach. Najchętniej przebywa wśród liści, a niekiedy udaje się do wody dla zwilżenia skóry. Czasami żabkę trzymają w słoju gdyż ma pogodę przepowiadać. Wprawdzie w rzeczy samej, przed deszczem zanurza się w wodę, lecz nie jest to nieomylnym znakiem, a jeszcze mniej można wnioskować z jej skrzeczenia, gdyż znajdując się na wolności, podczas wszelkiej pogody odzywa się wiosną i latem.

W niektórych krajach żaby wodne i większe lądowe, bywają używane na pokarm i dlatego cenią je i łapią. Przytem jednak dopuszczają się męczarni, albowiem jadalne jest tylko mięso tylnych nóg, więc je odcinają zwierzęciu, które jeszcze jakiś czas żyje, dopóki śmierć nie położy końca tej męczarni.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej żyje wielka żaba rycząca, przeszło $1\frac{1}{2}$ stopy długa, którą łowią na wędkę, albo siecią, albo też śrótem strzelają. W strumieniach ocienionych zaroślami żyje ona w ten sam sposób jak nasze żaby, tylko ma głos podobny do ryku wołu, zkąd nazwa jej pochodzi. Napastuje ona młode ptaki wodne, oraz kurczęta. Jej uda uchodzą za przysmak.

Żabki podobają nam się wdzięcznym swoim kształtem, gładką skórą i zwinnemi skokami, tymczasem ropuchy, należące do rzędu żab, budzą wstręt i odrazę swojem nabrzmiałem i krostowatem ciałem. Odrazę tę powiększa niezgrabny ich ruch i unikanie światła. Nic więc dziwnego, że większość ludzi omija ropuchę. Śmieszną atoli jest rzeczą uważać ją za niebezpieczną. Prawda, że ze swoich brodawek skórnych wydaje ona gryzącą ciecz i w gniewie, jak żaby wogóle, tryska gryzącą uryną; wszakże obie te ciecze nie są jadowite i sprawiają tyle bolu, co sparzenie się pokrzywą.

Ropucha czołga się tylko o zmierzchu i nocą; pożera owady, robaki i ślimaki; dlatego rozsądni ogrodnicy chętnie ją widzą na swoich grzędach. Tylko w piwnicach i wilgotnych domach nie warto jej oszczędzać. Jednakże opowiada Szubert, że w pewnym domu trzymano ropuchę przez długie lata dla uciechy. Wyłaziła ona wieczorem z nory, siadała na stole, gdzie ją muchami i innem pożywieniem karmiono. Ropuchy mogą żyć bardzo długo. Tak np. znajdują nieraz żywe w drzewach, w piaskowym lub wapiennym kamieniu,

gdzie prawdopodobnie nie jeden rok przeżyły, nim drzewo urosło, albo nim w kamieniu zatkał się otwór. Nieprzyjacielem ropuchy jest jeż, który nie lęka się ani jej woni, ani brzydoty. W naszych wodach stojących bardzo pospolitą jest kumka, mała żabka, z wierzchu czarno oliwkowa, z pomarańczowemi plamami na ciemnem tle brzucha; woła ona kum, kum, kum.

Praktyczne rady.

— **Środki na wywabienie plam.** Na plamy są skuteczne, według Geyera (Handbuch der chemisch-Handwaescher): Na plamy powstałe z cukru, kleju, krochmalu mąki itp.: Proste wypranie ciepłą wodą, w której rozpuściło się odrobinę mydła weneckiego. — Plamy z krwi, jeżeli pozostały resztki żelaza (według jakości krwi) to dopłukać jeszcze w rozpuszczonym kwasie koniczynnym (Kleesäure). Plamy z owocu, czerwonego atramentu, wina czerwonego, plamy z barw roślinnych na tkaninach bawełnianych i jedwabnych: zmycie letnią wodą mydlaną z mydła weneckiego lub rozcieńczonym salmiakiem. — Plamy z atramentu alizarynowego na bieliźnie: pranie wodą chlorową; na tkaninach wełnianych i bawełnianych: jeżeli na to zabarwienie tkaniny pozwala, wymycie rozcieńczonym kwasem winnym. — Plamy z rdzy i atramentu na bieliźnie: zastósowanie gorącego kwasu koniczynnego, rozcieńczonego kwasu solnego, następnie opiłki cynowe; na tkaninach wełnianych i bawełnianych: jeżeli zabarwienie jest prawdziwe kilkakrotne zastósowanie rozcieńczonego kwasu cytrynowego. Na plamy na tkaninie jedwabnej nie ma ratunku, a każde próbowanie pogorszyłoby jeszcze więcej złe. — Plamy na rękawiczkach z używania lasek: wsypuje się w szczelnie zamykającą się szkatułeczkę nieco soli z rogu jeleniego rozkłada się na to rękawiczki i pozostawia się tak, dopóki plamy nie znikną. — Plamy z przepocenia można usunąć mięszaniną składającą się z 3 części salmiaku, 3 części alkoholu i z 3 części eteru siarkowego. — Plamy powstałe z oleju, pokostu, tłuszczów, smoły i smarowidła do osi: wywabia się je ze wszystkich tkanin benzyną, niech się ulotni, a jeżeli jeszcze plamy się pokazują, to zastósować jeszcze bardzo rzadkich mydlin z mydła weneckiego. — Plamy z stearyny i palmityny: usuwa się mocnym spirytusem (sprytem). — Plamy z wapna, ługu i alkalij wogóle: Bieliznę pierze się po prostu rozcieńczonym kwasem octowym, na tkaninach wełnianych i jedwabnych wywabia się rozcieńczonym kwasem cytrynowym. — Plamy z laku usuwa się benzyną i ostrożnem wyskrobaniem paznagciem. — Plamy z piwa, punczu, kawy itp. wywabia się z wszelkich tkanin zwyczajnem wypraniem, odnośnie z dodaniem nieco krystalicznej sody.

— **Srodek na mole:** witryol żelaza suszy się dokładnie, proszkuje się i przesypuje się pomiędzy włosy futer i to do samej skóry.

Rozmaitości.

* **Okrutna sekta.** Donosiliśmy już obszernie o sekcie, szerzącej się w Rosyi nad Dniestrem, której zwolennicy żywcem zakopują się w grobach. Obecnie donosi »St. Petersburgskaja Gazeta«, że w Ternowie koło Tyraspolu wykopano ponownie ciała sekciarzy. Znaleziono zwłoki nieznanej kobiety, 18-letniej dziewczyny, włościanina i jego 6-letniej córki, jako też inne zwłoki, których nie można było rozpoznać. Kowalew, głowa sekciarzy, przyznał, że wiedział, iż wieśnisk i jego córka mają zamiar się zakopać, wzbrania się jednakże podać miejsca, gdzie znajdują się ciała innych sekciarzy.

* **Kannibalizm.** Wszystko zrozumieć, to znaczy wszystko przebaczyć, i w myśl przysłowia, p. Henryk de Varigny staje w obronie zjadania bliźnich. Kannibalizm — powiada Varigny w artykule swoim, drukowanym w »Journal des Débats« — u ludów dzikich wypływa przeważnie z uczuć szlachetnych, jeżeli nie z czystej miłości bliźniego. U Tybetańczyków zjadanie ludzi starych jest najwyższym aktem szacunku dla nich; kukumusowie w Ameryce Południowej pożerają bliźnich w przekonaniu, że w żołądku będzie im.... cieplej, niż w zimnym grobie. P. Varigny rozumowaniem swojem przypomina pewnego monarchę wschodniego, który na zarzut, że poddanych swoich obciąża zbyt wielkimi podatkami, odrzekł: »Chcę ich uczynić szczęśliwszymi: im będą ubożsi, tem prędzej dorobią się raju Mahometa«.

* **W Wiedniu** odbyła się w tych dniach uroczystość przewiezienia zwłok głośnych niegdyś uczonych słowiańskich Bartłomieja Kopitara, Słoweńca i Wuka Karadżica, Serba, na ziemię ojczystą. Pierwszy zmarł w Wiedniu, jako kustosz biblioteki cesarskiej i na tem stanowisku wielkie oddał usługi literaturze i nauce słoweńskiej, takie, jakie lileraturze i nauce czeskiej oddali przyjaciele jego Hanka i Dobrowski. Wuk Karadżic był uczniem Kopitara i stał się twórcą nowoczesnego piśmiennictwa serbskiego. Zwłoki Kopitara przewieziono za staraniem w tym celu utworzonego komitetu słoweńskiego do Lublany, zwłoki zaś Karadżica za staraniem rządu serbskiego do Białogrodu. Przy wydobyciu trumien przemawiał imieniem narodu słoweńskiego poseł do rady państwa Szuklje, a imieniem narodu serbskiego były minister profesor Novakovic. W imieniu Wiednia żegnał zwłoki nadburmistrz dr. Lueger, a mowa jego, wolna od wszelkiego szowinizmu i pełna uznania dla działalności Kopitara i Karadżica i życzliwości dla obu przez nich reprezentowanych narodów, bardzo dodatnie zrobiła wrażenie.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.